

BRUNO SCHULZ

Wiosna

Przy końcu zimy nadchodził szereg trzeźwych, powszednich, niczem nie znaczonych dni, dni pustych w smaku jak wielkie kołacze, wypiekane we czwartek na cały tydzień i leżące szeregiem na półce w zimne, białe, bezsłoneczne popołudnie.

Dni te wyrastały z swych dwunastu godzin jak wyrostki z przyciasnego ubrania i marzły – codzien dłuższe, w ciągnące się powoli popołudnie przedwiosenne, w jasne zmierzchy, które nie chciały się kończyć. Wtedy nagle z framugi tygodni wynurzały się Święta Wielkanocne i nagle w pustce dni zaczynał się czas formować w głębi swej barwą i sensem i na scenę wysuwał się cały ten wielki teatr Paschy, całe to wielopiętrowe misterjum prastarej egipskiej wiosny: to wspaniałe i niezgłębione uctowanie przy długich, białych stołach, w świetle srebrnych świeczników, migocących pod tchnieniem zbyt wielkiej i pustej nocy paschalnej. Te noce paschalne stały jak ciemne kulisy za otwartymi drzwiami domu i rosły od niepojętych i ogromnych spraw, podczas gdy nad lśniąca paradą stołu przystawały na chwilę w kolejności Biblii figury jej zodiaku: plagi egipskie i rozsypywały się w miał gwiazdny, mielone w żarnach tej nocy, która jest inna od wszystkich nocy roku.

Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi od plag i klęski i wśród rehotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworach i roila się na całej przestrzeni od tajnego dziania się, a w sednie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzwi zatrzaśkiwały się za lamentem rodziców.

A gdy tydzień świąteczny mijał, wsuwano ten spiętrzony teatr Paschy z powrotem w indyferentną ścianę tygodni, która się wygładzała i ulice biegły znowu pusto i zapominano o wiosnie, której jeszcze wciąż nei było.

Aż pewnego dnia, przy końcu kwietnia, było przedpołudnie szare i ciepłe – ludzie szli, patrząc w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ciemnej ziemi przed sobą i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej, gałęzistej sieci drzew – szare, duszne niebo leżało ludziom na karku wichrowato – spiętrzone, bezforemne, ciężkie i ogromne, jak pierzyna. Ludzie gramolili się pod niem jak chrabąszcze na rękach i nogach w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułemi różkami słodką glinę. Świat leżał głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi, błogo bezsilny i płynął.

Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkował gęstą szarą siatką ćwierkania ptasiego, narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb w wężowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic i rósł tem wszystkim, bez miary.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w rękach, wisieli zgarbieni na ławkach parków z płatkami gazety na kolanach, z której tekst spływał w wielką szarą bezmyślność dnia, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezpowiednie. Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki, sypiące szary śrót, którym ćmiło się powietrze. Chodzili pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rześkiej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykłuło się słońce bladym kielkiem, wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i szary welon ćwierkania oddzielił się powoli blado-złocistą siatką, z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle w jednej chwili pusta przed chwilą aleja parku jest zasiana ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była ona punktem węzłowym wszystkich ulic miasta i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich zgrabnych dziewcząt śpieszą do pracy, do sklepów, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą przez ażurowy kosz alei, dyszący wilgocią kwieciarni i nakrapiany trelami ptaków – należą do tej alei, do tej godziny, są, nie wiedząc o tem, statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jakgdyby zrodziły się z deptaku razem z delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotem tle wilgotnego żwiru, bigną parę złotych, kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną, rozprószą się, przepadną, wsiąkną w piasek, jak te filigrany przeźroczych cieni, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków. Ale na tę jedną chwilę zaroily aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny zapach alei. Ach, te przewiewne, świeże od mydła koszulki, prodazone na spacer pod filigranowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokremi pod pachą,

schnące we fiolkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i przyszłe, zdrowe wiosenne wypryski krwi gorącej. Ach, cały ten park jest teraz bezczelnie przyszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami przyszczy, które pękają ćwierkaniem. Potem aleja znowu pustoszeje, po sklepionym deptaku gędoli cicho drucianemi szprychami wózek dziecinnie na smukłych resorach. W małym lakierowanym czółenku pogrążone w grzadkę wysokich krochmalonych szlar z batystu śpi, jak w bukiecie kwiatów delikatne i różowe dziecko. Dziewczyna, prodająca powoli wózek, nachyla się czasem nad niem, przeważa na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk rozkwitły białym muślinem i rozdmuchuje pieszczotliwie ten bukiet aż do słodkiego śpiącego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka ten przypływ obłoków i światła. Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca jak przez drucianą klatkę, świergot ptaszków z gałązki na gałązkę, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękane wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę przedpołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.